Nr. 32. Lwów, dnia 16. września 1900. Tom I.

ROMANS I POWIEŚĆ

PISMO TYGODNIOWE, POŚWIĘCONE BELLETRYSTYCE

Wychodzi każdej niedzieli.

Cena we Lwowie: rocznie 10 koron, półrocznie 5 koron, kwartalnie 2 kor. 50 h.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA Lwów, pl. Marjacki 6.

Cena dla prowincji: rocznie 12 koron, półrocznie 6 koron, kwartalnie 3 korony

ORLICA.

PRZEZ

E. Z. TATOMIRA.

(Ciąg dalszy.)

Snać spostrzegł to myśliwy i może mu coś w tej chwili przez głowę przemknęło, bo się uśmiechnął. Nie chciał jednak widocznie, by Zosia uśmiech ten dostrzegła i zmieniając szybko wyraz twarzy, dodał:

— Przepraszam najmocniej, że ośmieliłem się przejść granicę naszych lasów, ale...

— Nic nie szkodzi, nic nie szkodzi... Owszem, szczęśliwą jestem, że pana widzę — przerwała Zosia silnie wzruszonym głosem, nie zdoławszy jeszcze zupełnie zapanować nad sobą i podała mu rękę.

Miński rękę tę z zapałem pochwycił i złożył na niej gorący pocałunek.

— I ja rad jestem niezmiernie ze spotkania pani — odparł. — Tak dawno pani nie widziałem .. — dodał tonem, z którego żal przebijał i ukryta skarga.

Zosia zarumieniła się i spuściwszy główkę, szarpała liść paproci, u stóp jej rosnący.

— Kiedy pan przyjechał? — zapytała po chwili szeptem.

— Tydzień temu.

— Tydzień? I dotąd nie był pan łaskaw odwiedzić nas? Fe, to niełądnie.

Puściła listek i spojrzała mu w oczy.

Miński, jakby go te słowa ubodły, brwi zmarszczył.

— Proszę mi wierzyć, że nie mogłem, odparł niechętnie.

— I czemuż to?

Miński zawahał się.

— Tyle miałem do czynienia... Gospodarstwo zastałem tak zaniedbane... wymawiał się.

Zofię tłómaczenie to dotknęło niemile; posmutniała.

— Gdyby był pamiętał, to byłby przyszedł — pomyślała.

Poczem dodała głośno.

— To zwykły wykręt. Lepiej powiedzieć otwarcie: „Zapomniałem, że mam tu kogoś znajomego.“

— Niestety pani, tak nie było, westchnął Miński. — Owszem, myślałem o pani bardzo często i tak uporczywie, że mi to nieraz ból sprawiało. To raczej pani zarzucić można...

— O nie! W wirze świata, wśród ciągłego ruchu, zajęć i zabaw, prędko zapomina się o dawnych znajomych. Ale tu inaczej: zawsze ta sama natura nie pozwala o niczem i o nikim zapominać, chociażby się to nawet i chciało czasem - odparła młoda kobieta naiwnie, nie zastanawiając się nad tem, że powiedziała zbyt wiele.

Mińskiemu oczy dziwnie jakoś błysły i wiotką jej kibić objął gorącem spojrzeniem

— Niech mi pani wierzy — zawołał z zapałem — że wir świata, chociaż taki pełen wrzawy, nie jest wstanie zagłuszyć wspomnień, co się z życiem zrosły! Najlepszym tego dowodem

jest fakt, że powracając z zagranicy do kraju, myślałem tylko o pani, a ledwiem w lasy nasze wjechał, skoro mi szum dębów i buków dawną pieśń zanucił, nie mogłem opanować wzruszenia i...

Umilkł.

— I co? — podchwyciła Zofia.

— Nie męska to rzecz wprawdzie, ale wyznam pani otwarcie, żem się rozpłakał jak dziecko.

W oczach młodej kobiety łzy błysły. Odwróciła się i szła dalej.

Miński uśmiechnął się powtórnie i strzelbę, trzymaną dotychczas w ręce, przewiesiwszy przez ramię, podążył za nią.

Czas jakiś szli w milczeniu jedno obok drugiego.

— Pan był zagranicą? — odezwała się pierwsza Zofia.

— Wyjechawszy ztąd, bawiłem czas jakiś we Lwowie, a dopiero potem wyjechałem zagranicę, ale nie na długo, zaledwie na kilka miesięcy Śmierć ojca kazała mi powrócić rychlej, niż przewidywałem.

— To pański ojciec umarł? — patrząc na niego ze szczerem współczuciem zapytała Zofia.

— Tak pani.

— A dawno?

— Rok temu,

— I mój ojciec umarł w tym samym czasie — rzekła z westchnieniem młoda kobieta.

— Słyszałem o tem. Żal mi bardzo.

— Dziękuję panu! z wdzięcznością odparła Zofia i podała Mińskiemu rękę.

On złożył na niej powtórnie pocałunki i dłużej ją przetrzymał w swej rozpalonej dłoni.

Nie broniła mu tego Zochna. Zdawało jej się, że ten uścisk jest niemem wypowiedzeniem prawdziwego współczucia i — miło jej było. Odwzajemniła się też podobnem uściśnieniem, boć przecież i on ojca stracił. Dziwiły ją tylko te silne wypieki, które mu na twarz teraz wybiegły, ale i te przypisywała wzruszeniu.

Nareszcie Miński rękę jej puścił, a idąc dalej kilkanaście kroków w milczeniu odezwał się smutnie:

— Słyszałem, że pani wyszła za mąż...

— Tak, — odparła Zofia i twarz jej oblał rumieniec ciemny, chociaż sama nie wiedziała czemu.

Może dlatego, że w słowach jego skarga ukryta dźwięczała.

— A czyś pani szczęśliwa? — spytał znowu po chwili.

Zofia, zdziwiona nieco zadanem jej pytaniem, spojrzała na Mińskiego, który zdawał się być bardzo smutny. Żal jakiś serce jej ścisnął.

— Czemu pan o to pyta? — odparła szeptem.

— Niech to panią nie obraża, ale... ale bardzo mi to na sercu leży... Sama pani może nie przeczuwa, jak bardzo...

Owszem, ona przeczuwała, bo i jemu przed chwilą chciała zadać to samo pytanie ale nie wiedziała, jak zacząć.

Miński, po krótkiej przerwie mówił tymczasem dalej:

— Od czasu mego tu przybycia myślałem tylko o tem, by zdybawszy panią, pytanie to jej zadać. I wyznaję szczerze, że dziś dlatego wyszedłem do lasu, bom miał przeczucie spotkać tu panią. No i cóż, odpowie mi pani?

Zofia główkę opuściła ku ziemi.

— On ma przecież prawo troszczyć się o moje szczęście — pomyślała.

— Szczęśliwa jestem — odparła też po chwili. — Mam wszystko, a jeśli mi czego braknie, to chyba tylko ptasiego mleka.

— A ta ciągła nieobecność męża pani? — przerwał Aleksander, patrząc badawczo w jej oczy.

Zofia westchnęła; uczuła, że Oleś ma słuszność, ale równocześnie wiedziała o tem, że bronić męża jej wypada.

— To trudno; z tem się oswoić trzeba koniecznie — odparła. Zapewne, że to bardzo dla mnie niemiłe, ale muszę ustąpić, jeżeli kraj tego wymaga.

— Nie przeczę temu, ale przykro mi niezmiernie, że pani tak młoda nie używa żadnych przyjemności, tak jej wiekowi właściwych i potrzebnych. Za to też mam żal do pani męża.

— Żal? A czyż można mieć żal do tego, który wypełnia swoje obowiązki? Pan zna Zbigniewa?

— Tak, dawniej bywał u nas. Ale czyż trzeba koniecznie znać kogoś, by módz mieć żal do niego? — dodał, wracając do pierwotnego tematu rozmowy.

— No, tak... A czy nie ten żal przypadkiem przyczynił się do tego, że nas pan dotąd nie odwiedził? — spytała żartobliwie, chcąc rozmowę skierować na inne tory.

— Nie, pani.

— Tylko?

— Nie wymagaj pani odemnie odpowiedzi — prosił Miński składając ręce.

Zosia była jednak kobietą i dzieckiem ciekawem, a chociaż spodziewała się może słów gorętszych, miała też trochę miłości własnej, więc nalegała dalej:

— A, złapałam pana na kłamstwie! Praca przy gospodarstwie to był wykręt — prawda?

Więc powiedz mi pan, jaki jest powód właściwy?

— Nie mogę, nie mogę! — zawołał Miński.

— To się pogniewamy — rzekła Zofia, siląc się na ton swobodny, i stanęła.

Miński zatrzymał się również i złożył ręce na piersiach, a blady był jak chusta, tylko mu oczy płonęły, jak dwa rozpalone węgle.

(Dok. nast.)

BLANKA HALICKA.

PRZEZ MIŁOŚĆ.

(Ciąg dalszy).

— Ach panie! przez litość! błagam, nie mów pan takich rzeczy! — zawołała dziewczyna, zaciskając kurczowo ręce, jakby pod wpływem gwałtownego bólu. Panie Janie, niechże się pan uspokoi, przezwycięży. Pan się zabija tym smutkiem Niech pan pomyśli o swojej biednej starej matce, o rodzinie .. oni pana przecież kochają, nie jest pan sam na świecie... więc choć dla nich trzeba mieć odwagę żyć! I niech pan pamięta, że zawsze ma we mnie przyjaciółkę najszczerszą... niech pan choć czasem wspomni! Ja co dzień będę modlić się za pana.

— Panno Heleno, pani nie wiesz nawet, jakim aniołem, jaką opatrznością byłaś dla mnie; dla mnie, obcego, obojętnego człowieka! Gdzieżby to inna kobieta, tak młoda, wesoła, szczęśliwa, chciała zajmować się takim jak ja, chorym, rozdrażnionym, złamanym człowiekiem. Cóż ja panią obchodzić mogłem? A jednak od pierwszej chwili pani okazywałaś mi zawsze tyle serca Wiem, że to musiało być poświęceniem z pani strony; nie, proszę mi nie przerywać... ja wiem że dawniej byłem inny, wtedy przed pięciu laty, gdyśmy się w Zakopanem poznali, kiedy pani była takim zabawnym, kozakowatym podlotkiem. Pamięta pani, jak nieraz na przechadzkach goniliśmy się po lesie, kto z nas pierwszy wybiegnie na szczyt góry? I pani zawsze tak okropnie się gniewała, że ja ten wyścig wygrywałem! To były dobre, złote czasy! One nie wrócą już nigdy, nigdy! Ja dziś już nie ten sam .. już nie ten chłopiec wesoły do szaleństwa, któremu się świat cały uśmiechał, o! ja już inny człowiek Moje życie się zmarniło, złamało. Nie mam już ani siły, ani ochoty do niego; ot! wegetuję tylko!

Te słowa jego, jak tyle szpilek ostrych, wbijały się w serce biednej.

Słuchając tego, zdawało jej się, że już nawet nie pragnęła teraz, aby on ją pokochał. Wobec tego jego życia złamanego, myśl o swoim własnym losie odsuwała daleko, jak rzecz małej wagi, rzecz bez znaczenia niemal. Gdyby była wiedziała, że zrzekając się nawet spotkania go jeszcze kiedykolwiek w życiu, można było ocalenie jego okupić, byłaby przystała radośnie, bez chwili wahania.

— Nie, niech pan nie mówi, że dla pana już wszystko się skończyło. To grzech tak mówić. Pan teraz smutny, rozdrażniony, przybity, więc też wszystko widzi pan w czarnych barwach. Ale to musi minąć... czas zabliźni każdą ranę. Trzeba tylko mieć odwagę powiedzieć sobie, że się przeboleć i zapomnieć musi!

Umilkła — on siedział obok niej z głową spuszczoną, zamyślony, a od fortepianu zalatywały wciąż rzewne tony ukraińskiej dumki.

- Jak ja panią już dobrze poznałem! Pani nawet nie wie, jak ja do głębi przejrzałem pani duszę, i myślę, jaki będzie szczęśliwy ten, kogo pani pokocha, jaki będzie miał w pani skarb i istotę najbliższą, ukochaną, dobrą i rozumną. Bo to tak bolesno strasznie, kochać a pogardzać zarazem, i taka miłość musi z czasem człowieka zniszczyć, stoczyć mu duszę, jak robak drzewo. A jednak, mimo wszystko co przeszedłem, wierzę że tylko miłość może dać szczęście — więc też, że pani tak z serca

dobrze życzę, jak mało komu na świecie, chciałbym żeby pani już mogła spotkać i pokochać takiego, którýby cię umiał poznać i ocenić, i żeby pani była z nim taka szczęśliwa, jak może nim być człowiek na tej ziemi!

Krótki szyderski śmiech wyrwał się z ust Heleny.

— O! to ostatnie życzenie, to całkiem zbyteczne. Ja za mąż nie pójdę nigdy!

— Dlaczego, cóż znowu? Odkądże to postanowienie? Czy pani ma może zamiar wstąpić do klasztoru? — pytał zdziwiony, biorąc to jeszcze za żart

— O, nie, do klasztoru iść nie myślę, ale też nigdy, nigdy, nie poszłabym za mąż bez miłości, jak tyle innych panien. Wiem, że gdybym nie kochała, byłabym najgorszą żoną!

— Ale czemuż nie miałaby pani spotkać takiego ideału, w którymby się pani mogła zakochać po uszy? — zapytał Jan żartobliwie.

— A któż mi ręczy, że ten właśnie kochałby mnie? — zawołała Helena gwałtownie. Ten właśnie może przejść koło mnie, nie dostrzegając nawet mojej miłości, a ja, czy szczęśliwie, czy bez wzajemności kochając, nie potrafiłabym już zapomnieć!

Wypowiedziała to jednym tchem, tak jakoś gorżko i smutno, że patrzącemu na nią Janowi przyszło nagle na myśl, że może i w jej młodem życiu jest już jakaś łzawa karta, jakaś rana ukryta a bolesna.

I chwile upływały, czas uciekał, coraz bliższą była godzina rozstania, a oni milczeli...

Narzeczeni siedzieli teraz w kąciku na drugim końcu salonu — i słychać było tylko ich tłumione szepty, i widać twarze ich rozpromienione uczuciem, nachylone ku sobie.

— Szczęśliwi! — myślała Helena - o! jacy szczęśliwi! A przedemną czemuż ta różana przyszłość zamknięta, czemuż mnie jedną nic dobrego nie czeka? Gdyby on mnie kochał — gdyby tak patrzył na mnie, jak Kazimierz na Mimi — gdybyśmy tak siedzieli obok siebie, trzymając się za ręce, jak ci dwoje tam...

I ona, która przed chwilą wyrzekała się już wszelkiej nadziei, teraz dokładnie widziała obraz ten w duszy swojej, i serce zabiło jej gwałtownie do tej złotej nieuchwytnej mary. Nadzieja jest nieśmiertelna; póki żyje miłość, i ona zginąć nie może

W tem Jan zwrócił się do niej, i rzekł proszącym głosem:

— Panno Heleno, niech pani będzie tak dobrą i zaśpiewa mi dziś jeszcze... na pożegnanie. Może już nigdy więcej nie będę słyszał głosu pani, a tak go lubiłem...

Ona wstała, posłuszna wezwaniu, nie chcąc odmówić jego prośbie w tej ostatniej chwili przed rozstaniem, choć w tej chwili byłaby mogła prędzej płakać niż śpiewać.

Mimi usiadła do fortepianu, zagrała przegrywkę, Helena stanęła obok, i rozległ się srebrzysty jej głos, śpiewający rzewną pieśń Lassena:

Usta Ci moje nie zdradzą,
Że tylko Tobą ja żyję!
Miłość mą w głębi serca,
Jak w niemym grobie ukryją

Tony piosenki dźwięczały smętne, melodyjne, a oczy dziewczęcia z wyrazem nieopisanego żalu i miłości spoczęły na twarzy Jana

On siedział jak pierwej nieruchomo, twarz miał ręką przysłonioną; ona myślała, że nie widzi jej wzroku, a on podniósł oczy, zobaczył to spojrzenie, tchnące miłością bez granic — i struchlał.

Nie, nie, to ułuda, to szaleństwo! Ona tylko tak przejęła się pieśnią, ona tylko tak odczuwa tę melodją rzewną!

Pieśń płynęła dalej, dźwięczała jak dzwon.

O moje szczęście ni słowem,
Nie będę błagać w mem pieniu,

Lecz o Boże! cóż to! Śpiew nabrał znów tkliwości niezrównanej, a twarz dziewczyny zajaśniałą jak jutrzenka uczuciem bezmiernem, gdy z ust jej płynęły słowa:

Chyba tę miłość moją,
Wyczytasz w mem spojrzeniu!

Coraz głębszy smutek dźwięczał w pieśni; cudny głos zdawał się skarżyć i płakać w ostatniej strofce:

A gdy nie zgadniesz tego,
Co mówi to spojrzenie:
To nie karz serca biednego,
Za jego sen — marzenie!

I oczy, jakby w niemej prośbie zwróciła na tego, którego od lat tylu tak gorąco, z takiem poświęceniem w skrytości serca kochała:

„Przebacz, nie gniewaj się, przebacz, że cię kocham, daruj, żeś mi jest wszystkiem na świecie!“

Ten wzrok jej wypowiedział wszystko, i Jan zadrżał, jak przed widmem, przed tą czystą miłością dziewiczego serca, której odpłacić nie mógł.

W tej chwili, stanęła mu wyraźnie w myśli Helena, wtedy, gdy sankami jechali, kiedy z gorzką ironją mówiła:

„Bądź pan spokojny, ja przecież nie pomyślę,

że się pan o mnie starasz“, i jak potem ujrzał dwie wielkie łzy, płynące po jej twarzy.

Przypomniał sobie, jak w kościele modliła się z płaczem, nie wiedząc, że on tam jest, ze patrzy na nią — jak dziś, gdy mówił jej o przyszłości, o zamęściu, odpowiedziała mu tak gwałtownie, z taką goryczą!

Przypomniał sobie jej niezwykłe zajęcie się nim od samego jej przyjazdu do Zalesia; jej serdeczną dobroć i troskliwość, które w swem zaślepieniu przypisywał przyjaźni; rozmaite, przeróżne szczegóły z ostatnich trzech miesięcy uprzytomniły mu się w tej chwili jasno, wyraźnie w pamięci, i zrozumiał, że to szlachetne dziewczę kocha go głęboko, prawdziwie — a on, co jej dać mógł za tę miłość, za ten skarb pierwszego czystego uczucia?

Serce złamane, wypalone, pełne jeszcze wspomnień o innej!

— Boże! Boże! jakiż byłem ślepy! — jęknął biedny człowiek — Trzeba było uciec od niej, usunąć się... ona możeby jeszcze była zapomniała, a teraz, co będzie? co?

Czyż już takie było jego przeznaczenie, aby sam nieszczęśliwy, wszędzie niósł niedolę za sobą?

I nie czuł żadnej radości, żadnej słodkiej rozkoszy na mysl, że jest tak gorąco ukochanym przez to dziewczę młode, piękne i szlachetne; czuł tylko żal głęboki nad nią biedną, bo była mu droga jakby siostra, lecz innej miłości dać jej nie mógł.

A ona śpiewała dalej; narzeczeni przed chwilą wyszli z salonu; to Mimi dała znak Kazimierzowi, żeby tym dwojga zostawić chwilę pożegnalnego sam na sam, bo godziny upływały, czas mijał, a jutro już o świcie Jan miał wyjechać, by może już nigdy więcej nie zobaczyć Heleny.

Byli teraz sami; ona śpiewała „Miserere“ z Trubadura, to żałosne, rozdzierające pożegnanie dwojga serc kochających.

„Ach nie zapomnij, nie zapomnij mnie! Ja żegnam cię!“ – wołała całem uczuciem, całą siłą swego srebrzystego głosu.

Nie mogła śpiewać dalej — łzy ją dławiły. W tej chwili nie potrafiła udawać już dłużej serce jej wezbrało płaczem — uderzyła gwałtowny akord. aż struny zajękły, zerwała się gwałtownie i wybiegła z salonu do znajdującej się obok zimowej cieplarni.

Wtedy Jan wstał z miejsca — przystanął na środku salonu, jakby w namyśle głębokim, i poszedł za nią.

Siedziała pod wielkim, rozłożystym wachlarzem palmy, wśród wazonów kwitnących kamelji i hjacentów, i z twarzą ukrytą w dłoniach, gorżko płakała.

Zielonawa lampa rzucała dokoła łagodne, jak gdyby księżycowe światło, kwiaty woniały tak cudnie... a pośród nich, ta dziewczyna, sama jak kwiat piękna i świeża, płakała krwawemi łzami nad swem życiem zmarnionem.

— Panno Heleno — zaczął Jan.

A ona podniosła ku niemu twarz zalaną łzami, których nie myślała ukrywać, i spojrzeli sobie w oczy, długo, długo, i w tem spojrzeniu wypowiedzieli wszystko

— Więc to prawda? Więc ty mnie kochasz? Kochasz mnie, biedne dziecko? pytał wzrok Jana

— Kocham cię, kocham — wołały oczy dziewczyny — kocham na śmierć i życie, na złą i dobrą dolę!

Jedno słowo o miłości, nie zostało wypowiedziane, a jednak oni zrozumieli się, bo w to spojrzenie zda się przeszły ich dusze całe.

— Pani, pani, czyżem ja wart! Gdybym był wiedział, byłbym uciekł daleko, usunął się, byle pani nie unieszczęśliwiać! Zapomnij o mnie, bo ja nie mogę dać ci szczęścia, ja nie potrafię już pokochać nawet ciebie!

Ona podniosła ku niemu twarz pobladłą, i oczy łez pełne, i wyrazu bezgranicznej miłości.

— Nie, niech sobie pan nic nie wyrzuca, to nie od dziś, nie od teraz... To jeszcze od tego czasu, kiedyśmy się poznali.. przed pięciu laty. Odtąd wspomnienie pana nosiłam w sercu, jako całe światło, całe szczęście mego życia... Pan nic nie winien, nic... To tylko ja byłam szalona... A kiedy tu przyjechałam, i zobaczyłam pana tak nieszczęśliwym, byłabym oddała życie, żeby pana pocieszyć... Chciałam choć pomódz, pocieszyć... chciałam być panu tylko przyjaciółką, siostrą, sercu milczeć kazałam, ale w końcu zabrakło mi już sił, i zdradziłam się Niech pan zapomni o tej jednej chwili słabości, niech pan widzi nadal we mnie tylko całkiem oddaną sobie, przyjazną duszę.. Ja nie żądam nic więcej... i niech sobie pan nic nie wymawia!

Łzy płynęły po jej twarzy, lecz nie spuściła oczu, i mówiła otwarcie, szczerze, choć drżała cała ze wzruszenia.

— O Heleno! czemuż ciebie zapóźno poznałem! — zawołał nieszczęśliwy. — Dziś jam już człowiek zgubiony. Gdybym jeszcze kiedykolwiek mógł zapomnieć i zacząć życie na nowo, to tylko przez ciebie, bo ty dziecko byłaś moim aniołem stróżem... przez ciebie tylko mógłbym uwierzyć, że jeszcze żyć warto. Ale teraz jadę, daleko, na długo, i nie

wiem, czy się jeszcze spotkamy, ale wspomnienie pani pójdzie wszędzie za mną, jak promyk jasny. Idę już, idę, bo rozpacz porywa mnie na myśl, żem ja przyczyną twego cierpienia, a jabym rad ci życie całe umilić, osłodzić! Pamiętaj o mnie, dziecko, i pomódl się czasem. . Nie płacz, nie płacz tak, nie odbieraj mi reszty odwagi... bądź zdrowa... kiedyś, powrócę .. może ..

— Nie, nie, nie krępuj się pan niczem, ja nie chcę tego Może znajdziesz pan inną, lepszą odemnie, piękniejszą, może inną pokochasz kiedy... nie krępuj się pan niczem, żadnemi obietnicami. Ja dla pana zostanę zawsze przyjaciółką... niech ci Bóg da szczęście, choćby zdaleka, choćby z inną! A jeżeli . jeżeli wrócisz. . to czy przyjdziesz za rok, czy za pięć, czy za dziesięć lat, zastaniesz mnie zawsze niezmienioną. Niech pana Bóg strzeże i pocieszy! I pamiętaj, co mówię w tej chwili, kiedy się może na zawsze żegnamy: Bądź szczęśliwy, gdziekolwiek i z kimkolwiek!

Ręce ich splotły się w silnym gorącym uścisku; dziewczyna drżała cała z bólu i rozrzewnienia, i gdy tak stała przed nim, tak pełna wdzięku w swoim żalu, tak każdem spojrzeniem mówiąca mu o niezmiernej miłości swojej, jemu snuła się myśl, by przyciągnąć do siebie tę smukłą dziewczęcą postać, i czysty, serdeczny pocałunek złożyć na jej czole, ale nie śmiał.

Spojrzał tylko na nią raz jeszcze, i długą, długą chwilę oczy ich oderwać się od siebie nie mogły, i ręce splecione rozłączyć.

Wreszcie on chwycił jej dłoń, przycisnął gwałtownie do ust, i nie spojrzawszy już więcej, wyszedł.

Helena widziała zdaleka, jak szedł przez długi szereg pokoi, jak w ostatnim, gdzie staruszkowie grali w marjasza, przystanął i żegnał się z nimi. Widziała jak Mimi podawała mu rękę na pożegnanie, i coś mówiła z uśmiechem; jak Kazimierz wziął go w ramiona i żegnał serdecznie, jak brata; widziała, jak otwierał drzwi od ganku i wychodził, i usłyszała, jak wicher drzwi te zatrzasnął za nim z łoskotem.

Nie mogła ruszyć się z miejsca, dopiero, gdy usłyszała kroki jego pod oknem, rzuciła się ku szybom, rozpaczliwie, gwałtownie, aby choć cień jego ujrzeć wśród ciemności.

Ale marcowa noc czarna była i chmurna, nic nie dojrzała; kroki ucichły.

Dziewczyna zakryła twarz rękami i wybuchnęła strasznym, szalonym, rozdzierającym płaczem.

VIII.

W dwa tygodnie po wyjeździe Jana, i Helena opuściła Zalesie.

Nadchodziła Wielkanoc — i pewnego dnia przyszła depesza, oznajmująca, że Lubońscy wrócili już z Abbazji, i proszą aby pan Franciszek odwiózł im córkę do Lubonia.

Ona z radością spieszyła na powitanie rodziców i ukochanej małej siostrzyczki po tak długiem rozłączeniu, ale zarazem gdy wyjeżdżała, gdy opuszczała to Zalesie, gdzie przybyła tak niespokojna, radosna, tak pełna nadziei szczęścia, to Zalesie, gdzie przeżyła tyle chwil rozkosznych i smutnych, tyle marzeń, i tyle łez, ogarnął ją żal głęboki, jak gdyby po raz drugi rozstawała się z Janem, po raz drugi go traciła.

Tu przynajmniej choć mówiono często o nim, mogła słyszeć codzień imię jego, uprzytomniać sobie chwile tu z nim spędzone, tutaj, każden przedmiot, każde miejsce go jej przypominało.

A tam, nikt nawet o nim nie wspomni, nikt... tam ona wśród swoich, wśród osób najbliższych i ukochanych sama będzie ze wspomnieniami o nim... komuż zwierzyć się z tą straszną tęsknotą, z tą cichą a wielką miłością swoją?

Kto zrozumie ją, kto pojmie to uczucie, beznadziejne, uparte, szalone?

Matka? Ona tę matkę najlepszą kochała serdecznie, ale ta zajęta domem, gospodarstwem, a szczególniej wychowaniem małej Zosi, która od urodzenia słaba i wątła, potrzebowała ciągłej, nieustającej opieki, nie przyzwyczaiła starszej córki do zwierzenia się jej z każdą myślą.

Ojciec, człowiek poważny, trzeźwy, pracowity, obarczony zajęciami i obowiązkami; czyżby do niego nawet przemówić o tem ośmieliła się?

Siostra? Małe dziecko jeszcze.

Przyjaciółki nie miała żadnej, prócz Mimi, i ta jedna wiedziała o wszystkiem

A więc nie będzie nikogo, komuby wypowiedzieć tę tajemnicę swego serca; trzeba będzie ukryć ją głęboko, i żyć dalej, jak dawniej...

Był to początek kwietnia, gdy Helena wyjeżdżała; czas był cudny, słoneczny, wiosna pachniała w powietrzu — wszyscy domowi stali zgromadzeni na ganku, żegnając odjeżdżającą z prawdziwym żalem, bo przez tych parę miesięcy przywiązali się do niej serdecznie.

(C. d n.)

SZAROTKA

przez **E. WERNER.**

Przekład Stanisława Miłkowskiego.

(Ciąg dalszy.)

— Zapewne, ja także byłem tego samego zdania, doświadczywszy na sobie, jaki to nieznośny gbur — dodał radca. — Zagalopowałeś się mój synu niepotrzebnie.

Heintz, który za swoją tak szczęśliwie przeprowadzoną misję był obrzucony wyrzutami, słuchał bardzo obojętnie.

Wreszcie odezwał się:

— Byłem przygotowany, że nas spotka nieprzyjemne powitanie przez pana doktora. Wszakże pacjentki nie wydobędzie z wody ciągnąc za włosy. Poczekajmy na rezultat wizyty.

— Za włosy z wody! Przepyszne wyrażenie. Widocznie zachodzi między tobą a Eberhardem rodzaj powinowactwa, mówił Guido.

Kätchen tymczasowo postanowiła na rezultat oczekiwać w ogrodzie. Być może żywiła tajemną nadzieję, że młodego asystenta doktor znowu wyśle na przechadzkę — nie zdarzyło się to jednak, zamiast doktora przyłączył się do niej Heintz, który jednak tak był zamyślonym i milczącym, że pogawędka nie zawiązała się.

Doktor Eberhard widocznie serjo zajął się pacjentką, gdyż bawił tam przeszło godzinę.

Skoro nareszcie ukazał się, czekał na niego radca tajny i Guido w przedpokoju. Ostatni zwrócił się do doktora w charakterze wielce znanego ze sławy męża, który przywykł spotykać się zawsze z należnym mu szacunkiem i uwielbieniem.

— Pan, panie doktorze, wystawiłeś nas na ciężką próbę — rzekł. — Spędziliśmy ten czas w niepokoju i trwodze, racz więc oświadczyć w jakim stanie znajdujesz pan drogą panią Rehfeld? Czy mamy się obawiać, czy też mieć nadzieję?

Eberhard w milczeniu zmierzył Guida swym wzrokiem od stóp do głowy. Nie zaimponowała mu ani piękna głowa z kędziorami włosów, ani miękki melodyjny ton głosu, lecz oburzyło tak stanowcze wystąpienie. Zasapany, ze złością odpowiedział:

— To moja rzecz i pana wcale obchodzić nie powinna. Czy pan myślisz, że rezultat mojej djagnozy, powinienem pierwszemu lepszemu powiesić na nosie? „Droga pani“ jest nerwowa, narwana dama, której dopiero trzeba głowę uregulować na właściwem miejscu. Dałem jej dzisiaj pierwszą lekcję rozsądku, a potem zobaczymy.

Hellmar słysząc to pozostał w miejscu jak wryty, później jednak zwrócił się do radcy. Doktor spojrzał na jednego i drugiego dzikim wzrokiem, radca przerażony cofnął się po trzykroć składając ukłon. Eberhard kiwnął głową wychodząc, tylko dr. Gilbert bardzo uprzejmem pożegnaniem starał się zatrzeć wrażenie wizyty doktora.

Zewnątrz, w ogrodzie, Heintz zbliżył się do mrukliwego eskulapa, na obliczu którego odbiła się złośliwa radość, gdy spostrzegł młodzieńca.

— A jesteś pan, panie Heintz Kronek. Pan zapewne niezmiernie ciekawy rezultatu z mojej wizyty. Co?

— Tak i nie — odpowiedział Heintz. — W gruncie rzeczy mogę myśleć, że pan jesteś tego samego zdania, jak pańscy koledzy, a głównie zdania profesora Mertens.

— Tak pan sądzisz — zapytał Eberhard, szczerząc zęby radośnie. Ja nie tak łatwo zdobywam się na zdanie stanowcze, jak pan kolega Mertens, wielka powaga! Bardzo skomplikowany stan... nadzwyczajny, bardzo pożądany objekt, będę nieustannie studjował. Przyjmuję na siebie leczenie pani Rehfeld.

W oczach młodego człowieka ukazał się ten sam wyraz, jak po skończeniu wizyty u Eberharda, ale jednak odpowiedział tonem, w którym brzmiała pewna przykrość.

— Oto zbyt więcej niż spodziewaliśmy się. Rzeczywiście nie mogliśmy odważyć się na zajęcie panu czasu tak drogiego.

— Nie odważyliście się mieć nadzieję — rzekł doktor, którego oczy błyszczały złośliwością. Powrócę tu za trzy dni, będę odwiedzał panią codziennie, jeżeli tego będzie potrzeba, ażeby się panu przypodobać. Gilbert, czego tam do licha szukasz?

Gilbert skorzystał z rozmowy obu, aby zboczyć nieco i zbliżył się nieznacznie do Kätchen, która powolnemi krokami spacerowała w alei, prowadzącej do domu. Byliby się niezawodnie spotkali, gdyby nie nadspodziewane odezwanie się Eberharda. Młody człowiek przeraził się i powrócił do swego szefa. Ten zaś przypominając sobie stłuczenie szklannej

tafli, spojrzał na dziewczynę piorunującym wzrokiem. Heintz pożegnał się z nim z uprzedzającą grzeczno ścią i skoro wrócił do domu, rzekł tryumfująco:

— Ma nadzieję, wiem o tem doskonale!

W salonie tymczasem panowało w wysokim stopniu oburzenie. Można było spostrzedz, jak tu gospodarował doktor. Przyjemny, uspasabiający do marzeń przycień zniknął, jak niemniej i powietrze zaduchliwe. Przez szeroko rozwarte okna przepływało światło słońca a obok tego na pół omdlała Ewelina spoczywała na sofie, gdy jej pokojowa rozcierała czoło i skronie. Guido, który niezapomniał że go nazwano *pierwszym lepszym* przysięgał, że nie pozwoli, aby noga tego człowieka kiedykolwiek stąpiła na próg salonu. Radca tajny dopomagał mu o ile mógł, wreszcie pojawiła się Kätchen opowiadając niesłychane historje jak ten rabuś, swego asystenta, chłopca bardzo przyjemnego i pełnego poświęcenia, jakby ofiarne cielę pociągnął za sobą.

III.

Chata na wysokim złomie góry, należąca do Ambroza, przezwana *chatą wysokiej góry* zupełnie usprawiedliwiała ten tytuł. Potrzeba było co najmniej dwie godziny aby się tam dostać. Góral mieszkał tu oddawna z dziewką i parobkiem. Stosunek z doliną był bardzo utrudniony a w zimie najczęściej bywał przerwany, więc nie dziwiło nikogo, że Ambroz zaledwie w niedzielę i święta schodził i pojawiał się w kościele. Nie był on bardzo lubiony, lecz się go bano i dla tego każdy przy spotkaniu witał go z niejakim szacunkiem.

W tej chwili stał on przed domem rozmawiając z młodym wieśniakiem, z kijem góralskim w ręku, z workiem na plecach, gotów do odejścia. Był to przystojny, muskularny *juhas*, lecz miał twarz ponurą. — Rzuciwszy okiem na niebo, słońce już chyliło się do zachodu, rzekł:

— Strzeż was Boże! Muszę iść!

— Czy ci tak pilno? — zapytał Ambroz. — Zaledwie cokolwiek odpocząłeś, pozostań jeszcze chwilkę.

— Nie mogę. Muszę przed nocą dostać się do doliny, tak przyrzekłem.

— Zapewne Gundeli, córce tamtejszego oberżysty. Jakże tam wasze wspólne interesa, mój Wincenty.

Wincenty odwrócił się a twarz miał bardziej ponurą i rzekł:

— Albo ja wiem? Przecież to niby oddawna rzecz omówiona.

— Co? Myślałem że się pobierzecie.

— Ja także tak myślałem, ale mi inny wszedł w drogę. Taki to łotr! Zaczął dziewczynę bałamucić i ona też ma zawróconą nim głowę. Działo się to w minionym tygodniu. Ja byłem wtenczas w Almie i nic o tem nie wiedziałem, dodał uderzając kijem w ziemię.

— Trzeba ci było rozmówić się z Gundel.

— Tak uczyniłem, ale nie chciała ze mną mówić. Dziewczyna jakby nie ta sama, nie wiele brakuje do zupełnego zerwania. Niech no jednak sprobuje. Nie jestem głupcem żebym ustąpił, tem więcej że mam za sobą jej ojca.

— Tak się spodziewałem, kiwnął głową Ambroz Jemu daleko pożądańszym jest Wincenty Ortler, syn zamożnego wieśniaka niż jaki przybłęda. Czy widziałeś tego twojego przeciwnika?

— Tylko raz i to z daleka, ale dość blisko żebym go poznał. Zachowaj Boże, jeżeli go spotkam kiedy z dziewuchą — popamięta!

— Bardzo sprawiedliwie — rzekł Ambroz — Poślij go do djabła i tem daj dowód dziewczynie, że nie pozwolisz się odsadzić jak kot od mleka. Tak zawsze postępować trzeba z dziewczętami. Strzeż cię Boże, Wincenty.

Rozstali się. Młody wieśniak zwrócił się ku dolinie. Już może po godzinie znalazł się w połowie drogi, gdy nagle przystanął i patrzył się bystro na ścieżkę, na której ukazał się wędrowiec, młoda, smukła postać w stroju góralskim, jaki zwykli nosić turyści. Tak szybko pędził po złomach skalistych, jakby po gładkim trakcie, wreszcie podniósł do góry głowę i spojrzał ku stronie chaty Ambroza.

Wincenty stał jak strzelec, gdy ujrzy zwierzynę. Chwilę zdawał się wahać, lecz wnet po jego twarzy przebiegło uczucie jakby zadowolenia i zagrodził swoją osobą drogę, po której wędrowiec postępował.

Był to Heintz Kronek zmierzający do chaty Ambroza. Właśnie umówił się ostatniego dnia, co do wycieczki na szczyt śnieżny góry i chciał u Ambroza przenocować aby z brzaskiem dnia puścić się w góry. Spojrzał zdziwiony na wieśniaka, tamującego mu drogę, nie przewidując że nieznajomy żywi względem niego nieprzyjazne zamiary.

— Bóg z tobą! — rzekł wesoło i zatrzymał się oczekując, ażeby się Wincenty usunął, lecz ten nie zmieniając postawy, zapytał z dzikim wyrazem oczów:

— Dokąd to pan dąży?

— Do chaty Ambroza

— Ztamtąd właśnie idę.

— Tak. Czy Ambroz jest u siebie?

— Jest i stara Krescencja przytem, jeżeli pan

zechce ją odwiedzić, nie będzie miał nic przeciw temu.

Heintz roześmiał się.

— Nie warto sobie tem nabijać głowy. Krescencją szanuję, bo pysznie piecze podpłomyki. Do „od wiedzenia“ poszukam sobie innej... no, ale teraz ustąp, bo mi pilno

Wincenty oparł się na kiju, spoglądając dziko.

— Spieszy się panu, a ja chciałem z panem pogadać.

— Ze mną?

— Pan mię nie zna, jestem pewny, ale ja pana znam?

— A to mi bardzo pochlebia — rzekł Heintz, wypadek ten bowiem zaczął go bawić. — Któż więc jesteś?

— Nazywam się Wincenty Ortler i mam z panem na pieńku. Czy znasz Gundelę, córkę oberżysty z doliny?

— Któżby nie znał córki oberżysty. To ona przysyła cię do mnie?

— Gundel? — zawołał Wincenty z wściekłością. Czy już tak daleko zaszliście, że aż się pan spodziewa od niej poselstwa. Nie przypuszczałem.

Zbliżył się w groźnej postawie do młodego człowieka, ale ten stał obojętny i wreszcie krzyżując ręce na piersiach rzekł:

— Miej się na baczności Wincenty Ortlerze! Zanadto blisko jesteś i przychodzisz z kijem, to nie jest wcale rzecz przyjemna.

Chłodny, spokojny ton Heintza, wywołał pożądany skutek bo góral zacisnął zęby i usunął się nieco z drogi.

— No, cóż miałeś powiedzieć — zapytał go Heintz, po chwilowem milczeniu.

Wincenty nie zaraz zdobył się na odpowiedź, tylko wpatrywał się w Heintza, jakby pragnął ocenić jego siły.

— Ja lubię dziewczynę — wyrzekł nareszcie, lecz wyznanie to wypowiedział tonem szorstkim.

— Bardzo dobrze. Cóż dalej?

— Co dalej? Nie cierpię, jak się ona wdaje w rozmowy z panami, z miasta

— To jej zabroń.

Wincenty rozśmiał się gorzko.

— Co to pomoże. Czego chce Gundel, to robi, a jeżeli sądzi że mi tem dokuczy, to właśnie robi to naumyślnie.

— Stosunek wasz wcale nie do pozazdroszczenia — rzekł ironicznie uśmiechając się Heintz. — Ale wreszcie jakie ty prawo masz do dziewczyny? Czy to twoja narzeczona?

Z oczów górala strzeliło znowu dzikie jakieś uczucie i powstrzymując się z trudnością od wybuchu, mruknął:

— Przyszłoby było do tego już dawno, ale od pewnego czasu nie można zbliżyć się do dziewuchy. Krótko i węzłowato, jak daleko zaszedł pan z nią w znajomości?

Pytanie brzmiało tak dziwnie, tak wyzywająco, że inny byłby prawdopodobnie wzruszył tylko ramionami i odwrócił się tyłem do pytającego. Ale Heintz przeciwnie powziął dla niego pewną życzliwość i rzekł z uśmiechem:

— Wincenty Ortlerze, nie bardzo to przyzwoicie, a nawet bezwstydnie z twojej strony, że mię napadłeś tak niespodzianie na drodze, chociaż taka rozmowa wydaje się mi wielce oryginalna, ale mi się podobasz

— Albożja pana o to pytam? Czy mi pan odpowiesz?

— Jeżeli w podobny sposób będziesz mię przymuszał... to nie.

— Niech się pan zastanowi. Jeżeli się spotyka dwóch tak jak my, niedobrze usposobionych... To wtedy...

— Co wtedy?

— Wtedy może być nieszczęście.

— Co znaczy ta groźba? — zawołał Heintz zniecierpliwiony. — Nie pozwolę na przymus, nie przymusisz mię.

Wincenty obu rękami pochwycił swój kij, jakby chciał nim go uderzyć, lecz się wstrzymał i rzekł głosem chrapliwym.

— Nie potrzebuję nic więcej, teraz już miarkuję, jak rzeczy stoją. Albożsam nie widziałem przed paru dniami, jak szedłeś pan z Gundelą z kościoła i jak śmiechom i wesołej rozmowie nie było końca. Wówczas nie widziałem jeszcze co to znaczy, dopiero teraz poznałem co się święci. Jeżeli spotkam was kiedy oboje, będzie po wszystkiem. Mam w domu strzelbę i w potrzebie mogę nie koniecznie strzelać do zwierzyny — popamiętacie Wincentego Ortler.

I nie czekając na odpowiedź, szybko minął Heintza, który poruszył głową, ścigając go długo wzrokiem.

— Krótko i węzłowato — rzekł sam do siebie. — Dzielny chłop! Jemu wcale nie imponuje nasza szlachecka i pańska godność, rznie po prostu, ani się pyta. Doprawdy nie wiem co to wszystko znaczy, muszę się postarać u Gundeli o wyjaśnienie.

I zupełnie spokojny, jakby całe zajście było żartem, poszedł swoją drogą i wkrótce dostał się do chaty Ambroza.

Ambroz siedział przed drzwiami swego domu oprawiając siekierę w nowe toporzysko, ale na jego opalonej i stwardniałej od wichrów twarzy ukazała się radość, gdy ujrzał młodego gościa, który mu zdaleka się kłaniał. Wyciągnął rękę do uścisku staremu przewodnikowi.

— Oto jestem! — rzekł wesoło — Mam nadzieję, że będzie jutro piękna pogoda!

— Ja tak samo myślę — odpowiedział badając uważnie strop nieba. Nie warto się trudzić, podczas niepogody, bo droga wielce niebezpieczna. Chociaż byśmy wdarli się jak najwyżej, to trzeba omijać przepaście i zaspy śnieżyste. Nie z każdym odważyłbym się na wycieczkę, z panem pójdę chętnie. Trudno uwierzyć, że pan urodzony w mieście. gdy się widzi, jak to pan śmiga po urwiskach.

— Mam w sobie coś z natury dzikiej kozy — rzekł Heintz ze śmiechem. — Dla tego też nie mogę wytrzymać w naszej biurowej budzie, pisząc przy stoliku. Dreszcze mię przejmują, gdy sobie o tem przypomnę. Najprzyjemniej mi tutaj, przy tobie ojcze Ambrozie radbym pozostać i wyuczyć się manewrować siekierą i strzelbą.

— Chętniebym się na to zgodził — odpowiedział góral z przyjemnością przypatrując się smukłej, elastycznej postaci młodzieńca. Tylko życie góralskie nie przypadłoby panu do smaku a w zimie nie mógłbyś pan wytrzymać.

— Niech i tak będzie. Świat trzyma nas rozmaitemi węzłami, i ciągnie mię znowu do ludzi. Ale nie będę przerywał wam w robocie, przypatrzę się zachodowi słońca, musi to być widok wspaniały.

Przy tych słowach usiadł na ławce stojącej przy domu. Ambroz dalej zajmował się swoją czynnością.

Od dnia, w którym Heintz powrócił z wielkiej wycieczki znużony i głodny, przyjęto go w chacie Ambroza i nakarmiono, od tego dnia zawiązał się między obydwoma stosunek przyjacielski. Stary, pochmurny góral, który do obcego chyba tylko z wielkiej łaski przemówił i zachowywał się zawsze jak niedostępny, dziki człowiek, powziął szczególniejszą życzliwość, do młodego, pełnego życia mieszkańca miasta. Zdawało się jakby jasny promień słońca tryskający z oczów młodzieńca ożywiał go i krzepił. Pan Heintz, go *oczarował*, zwykle się wyrażał, jakoż pozwalał mu na wszystko.

Chata znajdowała się na szerokim, zielenią pokrytym placu. Cała ta przestrzeń górzysta dokoła zasypana była śniegiem, we środku roztwierała się wielka przerwa, rodzaj bezdennej otchłani, a z każdego złomu lśniały pokłady lodu — była to tak zwana „śnieżna rozpadlina“ albo wądoł zasypany głęboko śniegiem. Niska chałupka z małemi okienkami, z dachem przykrytym kamieniami, wyglądała nędznie ale jednak tak była zbudowana, że ani ją śnieg niezasypywał, ani wicher zdołał zniszczyć. Tyle już przeszło nad nią burz, a mimo to stała nienaruszona, jak gniazdo orła na urwisku skały.

Pięknie tu było, w tem samotnem zaciszu, wysoko wzniesionem po nad lasy i zielone stoki, po nad dolinami i przepaściami, w których już poczynały się tajemnicze mroki i cienie. Tu pełno było światła i blasku a na jej podstawach i niskim dachu przebłyskiwały promienie zachodzącego słońca niby sztaby złota. Na jasnem dotąd niebie rozpościerały się nocne mroczowiska, góry lśniły krwawą barwą. Słychać tu było jedynie szmer i pomruk górskich strumieni, spadających ze stoków skał by się zamienić w olbrzymie jezioro na dolinie.

Heintz siedział w milczeniu, całkiem zapatrzony w świat górski. Zbudził się jakby ze snu, gdy Ambroz przemówił:

— A więc za trzy dni odjeżdżasz pan, kiedyż powrócisz?

— Prawdopodobnie dopiero na przyszły rok. Aż dotąd musisz być cierpliwym i ja będę wyczekiwał z tęsknotą.

— Czyliż temu winne będą chmurzyste wzniesienia gór — odpowiedział w wesołym humorze, co się zdarzało nię często. — Zdaje mi się panie Heintz, że tam wabi pana jakaś miłość. Pan mi się wydajesz tak zagadkowym.

Po twarzy młodzieńca przebiegł zdradziecki rumieniec, lecz poruszył głową ze śmiechem.

— Co ci przyszło do głowy Ambrozie? Czy chcesz mię tak wyciągnąć na pogawędkę, jak to wydarzyło mi się przed chwilą z jakimś młodym góralem, który zastąpił mi na drodze i gwałtem wmawiał, że się kocham w jego Gundeli.

— Kto to pana zaczepił? — rzekł Ambroz.

— Jakiś człowiek, którego pierwszy raz widziałem w mojem życiu. Nazwał się Wincentym Ortlerem. Musisz go pan znać, bo właśnie oświadczył że wraca od pana.

Twarz starego pochmurzyła się i na niejaki czas powstrzymał swoją czynność.

— Wincenty! Tak, był on tutaj! Panie Heintz, radzę panu po dobremu, pozostaw dziewczynę w spokoju, z Ortlerem nie można żartować.

— Co znowu? Czy sądzisz, że pragnę mu odbić dziewczynę? Ani mi to w myśli nie postało.

— Ba, pan tego nie myślałeś, ale dziewczyna pewnie tak sobie to wyobraża. Wincenty przebiegły jak lis, był właśnie tutaj i odgrażał się.

— Mnie?

— Jakiemuś obcemu, który krok w krok chodzi za dziewuchą, łudzi ją pięknemi słówkami, to wcale nie dobrze. Ale mówię panu jeszcze raz, pozostaw pan dziewkę, bo to może mieć bardzo zły koniec

W głosie starego brzmiała pogróżka, ale jej wcale nie pojmował Heintz. Nagle przyszła mu do głowy myśl a po twarzy przebiegł wyraz pogardliwy.

— Teraz dopiero zaczynam pojmować. Dla tego to studjując życie ludu górskiego, odczuwa się taki wstręt. Nie patrz na mnie tak ponuro Ambrozie, jesteś bowiem w błędzie. Ja znam piękną Gundelę tylko z widzenia, z którą nie raz w oberży jej ojca rozmawiałem i śmiałem się. Przed kilkoma dniami przypadkowo spotkałem ją na drodze i towarzyszyłem, i wtenczas to musiał nas widzieć ten górski Otello, teraz dopiero rozumiem jego groźby! Ale powinien był chyba zwrócić się do kogo innego, bo zachodzi tu pewna niedokładność i nieporozumienie co do osób. Daję panu słowo, że między mną a dziewczyną nie zachodzi żaden poufały stosunek.

Wyrazy te brzmiały tak stanowczo i młody człowiek wydawał się tak honorowym i szczerym w oczach starego górala, że jego twarz dotąd ponura, rozjaśniła się

— Jeżeli pan tak mówisz, to musi być prawda. Powinieneś jednak oświadczyć Wincentemu, że się myli. Z tego mogłoby wypaść coś bardzo złego.

— Mam więc biegać za nim i starać się przekonać? — zawołał Heintz oburzony. Przytem chłop względem mnie postąpił sobie gburowato. Jeżeli zazdrość czyniła go wściekłym i ślepym, do tego stopnia, że poważył się napaść na pierwszego lepszego na drodze, nie pytając się, czy to prawda lub nie, niech ona odpowie za skutki. Jeżeli mu to Gundel nie wyjaśni, ja tego nie uczynię także.

Odwrócił się i znowu zapatrzył się na skały. W około wszystkie wierzchołki drzew i grzbiety gór stały jakby w ogniu a najwyższy z nich szczyt śnieżny zaczął się zabarwiać. Lód wypełniający olbrzymią rozpadlinę skały, który wydawał się być zastygłym strumieniem, przebłyskiwał różowem światłem, ale barwa ta ciemniała coraz z każdą chwilą.

Góral na nowo zajął się swoją czynnością ale nieustannie potrząsał głową.

— Więc Wincenty panu groził, powiedz pan. Tedy trzeba się mieć na baczności. On nie grozi darmo, on zabija!

— Ha, więc dowie się, że i ja także nie lubię wcale żartować, wreszcie nie wiedziałem, czego on chciał ode mnie. Jeżeli jednak znowu stanie mi na drodze i nie zechce rozsądnie się rozmówić, to pokażę mu i dowiodę, że się nie lękam ani jego, ani strzelby.

— Jeżeli pan będziesz miał na to dość czasu Kula może pana spotkać pierwej nim jego twarz zobaczysz

— Jak to? Więc sądzisz pan, że może strzelać z ukrycia?

— Dla czego nie, byłby w swojem prawie.

— W prawie? — krzyknął Heintz. — Ambrozie, czyś zmysły stracił?

— Prawo to przysługuje mu nie względem pana, ale względem tego, który mu dziewczynę bałamuci. Jeżeli go zastrzeli ..

— Byłoby to morderstwo

Ambroz rozśmiał się, chrapliwym mówiąc głosem:

— Byłaby to pomsta, i ja nie mógłbym potępić za to Wincentego. Bo i cóż ma czynić, jeżeli dziewczyna głupia, otwarcie biegnie do przepaści i odpycha, pogardza uczciwą miłością.

— Tedy należy honorowo i uczciwie działać w tej mierze. Jeżeli bowiem ustąpimy i pozwolimy szerzyć się złu, to wówczas nic zgoła nie pomoże.

— Tak? Ja panu powiadam że ani warto się troszczyć, ani też nie jest godne mężczyzny boleć nad zdradą. Dziewczyna już zgodziła się, więc kto na drodze, to go usunąć. Musi ustąpić z drogi, bo inaczej nigdy nie będzie spokoju.

Heintz mocno był tem uderzony, spostrzegł on pierwszy raz w twarzy Ambroza szczególny wyraz, rodzaj lodowatego chłodu i dzikiego okrucieństwa. Przytem jego brwi krzaczaste były groźnie ściągnięte a olbrzymia ręka ściskała z wściekłością toporzysko siekiery, jako broń I on równie należał do tych natur pierwiastkowych, kierujących się w życiu samowolą, krwawem zadośćuczynieniem, odpłatą wrogowi prawdziwie zwierzęcym obyczajem, był to zatem człowiek, którego umysł nie rozpoznawał słuszności od niesłuszności, rządził się instynktem jak wilk, szakal lub hyjena. Ambroz uważał za sprawiedliwe, za konieczne i właściwe swojego rywala usuwać z drogi drągiem, siekierą lub czając się z ukrycia i mordując bez miłosierdzia.

— Mówisz pan tak, jakbyś sam kiedyś był zazdrosnym, znał ten ból i mścił się rzekł Heintz. Czy w swej młodości rzeczywiście ulegałeś kiedy tym namiętnym wrażeniom?

Ambroz roześmiał się. Był to ten sam chrapliwy ton, brzmiący okrucieństwem.

— Ból nie długo szarpał moje serce. Prędko zrobiłem koniec. Kiedy się starałem o moją żonę i byliśmy już zaręczeni, zjawił się łajdak z pochlebstwami i podarkami i dziewczynie zawrócił całkiem

głowę. Panowie z miasta potrafią nieznacznie, zdradziecko wkradać się w serca niewiast. Był to obcy człowiek.

— Obcy? — powtórzył Heintz, spojrzawszy przenikliwie na Ambroza. Jeden z tych turystów, którzy tu przybywają?

— Tak, ale ja go wysłałem daleko, tak że nie mógł napowrót znaleść drogi.

Młody człowiek powstał i odstąpił kilka kroków Nie przeląkł się wcale, ale ten chłodny, lodowaty wzrok górala, miał zupełnie wyraz krwiożerczego zwierzęcia, a okrucieństwo malujące się na jego twarzy, całkowicie ją przekształciło.

— I dokądże go posłałeś? — zapytał Heintz po niejakiej chwili.

— Dokąd? Do domu, gdzieżby indziej? — mruknął Ambroz

Heintz umilkł, ale jego oko mimowolnie zwróciło się ku śnieżnemu szczytowi, który zawsze gorzał, gdy tymczasem dalsze góry pobladły. Lodowate morze w śnieżystej przepaści, wyglądało jak czerwone, krwawe tło między górami.

— Przypatrz się temu szczególnemu oświetleniu — rzekł nakoniec młody człowiek. Wygląda tak jakby strumień krwi wypływał z śnieżystej przepaści ku dolinie. Patrz, patrz Ambrozie!

Ale stary wcale nie spojrzał. Uderzał młotem w siekierę i mruknął chrapliwym głosem:

— To jest tylko odbicie. Tam na górze nie ma krwi tylko lód i śnieg.

— Prawda, ale jednak panuje tam śmierć Czy przypadkiem jaki człowiek nie zginął, nie przepadł w śniegu? Zdaje mi się słyszałem coś o tem.

Ambroz nachylił się jeszcze bardziej nad robotą, ale jednak odpowiedział głosem pewnym:

— Nie. Od lat trzydziestu nic się tu podobnego nie wydarzyło. Może było to gdzieindziej

— Wspominam o historji daleko dawniejszej, może ona wydarzyła się przed pięćdziesięciu laty. Obcy, który zapragnął wejść tam na śnieżysty szczyt, został podczas szalejącej zamieci opuszczony przez swego przewodnika i znalazł na miejscu śmierć.

Tym razem Ambroz wcale nie odpowiedział, ale pochwyciwszy za siekierę, uderzył nią w ziemię jakby na próbę. Uderzenie zapowiadało straszliwą siłę starego, bo od tego uderzenia aż ziemia zadrżała.

— Straszliwy koniec! — mówił dalej Heintz — Musiał ten nieszczęśliwy wołać i błagać o pomoc i ratunek. Pewnie się długi czas błąkał zanim zginął Zaprawdę kula posłana w serce tym razem jest stokroć pożądańsza, niż taka śmierć, której towarzyszy nieustanna a daremna walka. Pan musiałeś być wtenczas młodym chłopakiem, czy tego sobie nie przypominasz!

Ambroz zadrżał. Zdawało się mu teraz bardzo jasnem, że nie przypadek włożył w usta jego gościa tę historję Powoli podniósł wzrok na Heintza, jakby to była groźba ostrzegająca. Ale te jasne oczy młodzieńca przenikliwie wpatrywały się w Ambroza, nie mógł on wytrzymać tego spojrzenia i odwrócił się.

— Co mię to obchodzi — rzekł — nic zgoła nie wiem o tem. Pan się jednak nie powinieneś niczego obawiać, my nie wpadniemy do śnieżystej otchłani i powrócimy zdrowi i cali, o co się postaram.

— Dziękuję wam — odpowiedział młodzieniec, nakładając kapelusz na głowę i biorąc kij do ręki. Namyśliłem się już i zrzekam się tej wycieczki.

Ambroz skoczył, jakby go cios trafił.

— Co? Nie życzysz sobie pójść do śnieżnego szczytu?

— Nie, dobra noc ci Ambrozie.

— To przynajmniej zanocuj pan tutaj.

— Nie. Muszę natychmiast zejść na dolinę. Dobra noc.

Chciał odejść, ale Ambroz zagrodził mu drogę.

— Nie puszczę pana — rzekł. — Za pół godziny będzie ciemno, możesz spaść, napotkać Wincentego, pozostań tutaj choćby do rana.

— Pod pańskim dachem, nigdy! Odejdź i nie troszcz się o Wincentego. Jestem ostrzeżony i nie pójdę z panem na śnieżysty szczyt.

Nierozsądny ten wyraz wywołał straszliwą wściekłość Ambroza, siekiera błysła w jego ręku, gdyż zamierzył się do ciosu, lecz młody człowiek odskoczył, używając kija jako lancy Cios trafił kij i przeciął go na dwoje.

Po tym gwałtownym czynie, góral opamiętał się. Nie powtórzył ciosu, lecz głośno sapiąc spoglądał dzikim wzrokiem na bezbronnego przeciwnika Heintz instynktowo dorozumiewał się że jego wzrok stanowi jedyną obronę. Zupełnie swobodny, nie poddając się trwodze, pewnym wzrokiem mierzył swego napastnika. Stali tak jakiś czas oko w oko, poczem siekiera wypadła z ręki Ambroza, schylił on głowę.

Zapanowała długa cisza, poczem Heintz rzekł:

— Teraz zapewne pozwolisz mi odejść Ambrozie. Nie obawiaj się. Co dzisiaj między nami zaszło, pozostanie w tajemnicy, z moich ust nie wyjdzie ani jeden wyraz, chociaż niepodobna abyśmy się spotkali znowu w życiu

Z piersi Ambroza wydobył się jęk. Chciał zamordować swego młodego gościa, ale pogardy jaką brzmiały jego wyrazy znieść nie mógł.

— Panie Heintz — szepnął a w jego głosie czuć było boleść. Pan mię zatem porzucasz?

Heintz spojrzał na górala, który niedawno tak wściekły teraz był pokornym jak dziecko.

— Bywaj zdrów Ambrozie! — rzekł.

Stary wyciągnął rękę do niego, ale młodzieniec ręki tej nie przyjął i cofnąwszy się zawołał:

— Bywaj zdrów!

Poczem oddalił się nieoglądając.

IV.

Nadszedł dzień odjazdu, goście pani Rehfeld powinni byli dzisiaj dostać się do dworca kolei, a nazajutrz przybyć do stolicy. Radca tajny okazywał bardzo ponury humor, spodziewał się bowiem napewno, że syn jego odjedzie, jako stanowczo zdeklarowany narzeczony Kätchen, ale nadzieja ta zawiodła. Pani Ewelina oświadczyła mu z uśmiechem, lecz nieodwołalnie, że jej pasierbica jest jeszcze za młoda i że ostatecznie co do jej małżeństwa z Heintzem musi się powstrzymać aż do przyszłego roku Rzeczywiście młode dziewczę liczyło dopiero szesnastą wiosnę życia. Radcę niezmiernie to zdziwiło, że Ewelina przedtem tak napierając na natychmiastowe połączenie się dwojga młodych ludzi, dziś zwleka, policzył to jednak na karb swego lekkomyślnego syna.

Ten Heintz, ten nicpoń, gotów był swem nieznośnem postępowaniem, uniemożebnić wszelkie kombinacje, okazał się bowiem tak lekkomyślnym tak mało dbającym o szacunek ludzki, że ostatecznie nic dziwnego, że Ewelina obawiając się o przyszłość dziecka, żądała całego roku do ostatecznego zdecydowania się. Jakkolwiek niejednokrotnie i ojciec i kuzyna porządnie zmyli głowę zbyt kochającemu swobodę chłopcu, nic to nie pomogło, Heintz stanowczo oświadczył: że się niepodda jeszcze jarzmu małżeńskiemu.

Doprawdy trudno zrozumieć jak taki punktualny i sumienny człowiek, tak wzorowy urzędnik i radca, mógł mieć tak niegodziwego syna. Cóżby to było dla niego za szczęście, gdyby tym synem był Guido Hellmar! Stary pan bardzo często porównywał ich ze sobą i z westchnieniem skarżył się na los, który go obdarzył podobnym niewdzięcznikiem.

Ostatni raz zebrano się w salonie na pożegnanie.

Heintz jak zwykle okazywał wrodzoną mu oschłość serca, bo mimo zbliżającej się godziny rozstania się, bawił się wesoło z Kätchen, która równie nie zdawała się być zasmuconą jego odjazdem.

Daleko smutniejsze i bardziej strapione okazywało się gronko otaczające fotel Eweliny

Radca tajny wyglądał bardzo poważnie, wyraz jego twarzy zdradzał najwyraźniejsze zgnębienie, w tej właśnie godzinie przebiegał w myśli wszystkie zawiedzione plany i kombinacje. Pani Rehfeld niewątpliwie nie przeżyje lata, dość popatrzeć na jej zbolałą twarz pokrytą bladością. Wprawdzie można było wyjaśnić to sobie przypuszczeniem że nie sypia po nocach, lecz baczny obserwator dostrzegłby ślady łez na jej obliczu.

Hellmar niezmiernie ucieszył się temi śladami płaczu, będąc przekonanym, że łzy płynęły na myśl rozstania się z nim wkrótce.

Odpowiedź odmowną Eweliny, uważał za drobnostkę, za kaprys chwilowy. Ewelina przecież najwyraźniej oświadczyła, że ceniąc wysoko jego osobę i jego niezrównane poetyczne utwory, nie odważyłaby się złączyć jego losu ze swoim, przykuć go do łoża umierającej prawie kobiety. Jego szczęście stawiała wyżej niż swoje i dobrowolnie ta miła roślinka odwróciła się od swego „słońca". Postanowił też nie zważać na skrupuły i powrócić tu za kilka miesięcy. Projekt ten jakoś nie rozweselił wcale strapionej kobiety, uśmiechnęła się nieznacznie, lecz oko jej głównie skierowane było ku oknu, skąd dolatywały śmiechy i wesołe krzyki Kätchen i Heintza.

Hellmar, ma się rozumieć, pożegnanie wystylizował w poetycznym wierszu, który odczytał Ewelinie; niedługo też powróciła Kätchen przyjmując czynny udział w ogólnem zakłopotaniu, jeden tylko Heintz zachował się obojętnie. Skoro spostrzegł manuskrypt, oświadczył konieczność powrócenia do swego pokoju, gdzie jeszcze należycie nieupakował swej walizki, wreszcie znał ten poemat, bo mu wczoraj Guido odczytał.

— Jakby to dwa razy jednej rzeczy nie można było słyszeć — odezwał się zgryźliwie radca tajny, lecz Guido zaraz położył mu rękę na ramieniu

— Pozwól mu odejść, ojcze Kronek. On nie ma najmniejszej sympatji do poezji i to nie jest jego winą.

— Zdaje się nawet, że pożegnanie nie czyni na nim żadnego wrażenia, dodała Ewelina z powstrzymaną goryczą. Jestem pewna że Henryk tylko czeka rychło powóz zajedzie.

Heintz już dawno opuścił salon.

Guido tymczasem swym melodyjnym głosem czytał swój płód poetycki, rozpływając się w marzeniach i smutnych do łez obrazach, nawet radca tajny poczuł że ma oczy zwilżone, jak niemniej i sam interpretant tej łzawo płaczliwej tyrady.

Heintz jednak nie spieszył się z pakowaniem

walizki w swoim pokoju, bo zamiast udać się po schodach do izb gościnnych, przebiegł kurytarz i otworzył drzwi znajdujące się na samym końcu.

Był to pokoik a raczej alkowa zaciszna, do której teraz dostał się młodzieniec. Wprawdzie maluchne okienka nie dawały należytego widoku i jasności całej tej wdzięcznie przystrojonej alkowy, lecz przeciwnie z okna można było widzieć las, zdala błyszczącą powierzchnię jeziora i oświetlone promieniami słońca drzewa i krzewy.

Śliczny pokoik darzył spokojem i chłodem Bladawe barwy tapetów, zielone pokrowce mebli i sprzętów, story i kwiaty w oknach i wazach, czyniły ten przybytek ciszy pożądanym, lubym, upragnionym. Nad sofą zawieszony był obraz, portret miłego, rozkosznego dziecka; Heintz znał tę uroczą postać w białej sukni, z krótkiemi lokami włosów, która śmiała się figlarnie i serdecznie dawniej jak i teraz — chwilowo tylko zatrzymał się przy konterfekcie jego przyszłej narzeczonej, natomiast oniemal wpił się wzrokiem w akwarellę wiszącą poniżej portretu.

Przedstawiała ona młodą macochę, w tym czasie jak ojciec Kätchen ofiarował jej swoje nazwisko i majątek Smukłe, ośmnastoletnie dziewczę, mało różniło się od dzisiejszej 23-letniej kobiety, tylko brakowało na tej twarzy wyrazu bolesnego, smutnego, a wielkie, ciemnej barwy oczy, dziś znużone i jakby osłonięte mgłą, miały jasny wyraz, marzącej, rozkosznej, pełnej młodości i życia istoty. Czyliż kiedy jeszcze te oczy odzyskają dawny wyraz?

Młody człowiek stał kilka minut zapatrzony w ten obrazek tak uroczy a potem nagle, jakby z niechęcią odwrócił się.

(C. d. n.)

DZIECKO.

(OBRAZEK).

Kiedy minęły pierwsze porywy uczucia namiętnego, zapanował między nimi stosunek pełen serdecznej przyjaźni.

Flawia chętnie z nim rozmawiała przez długie godziny o swojem dzieciństwie, podczas którego wszystko wydawało się jej jasnem, wszystko było dla niej ukochanem...

Wspomnienia unosiły ją; wzrok miała wtedy utkwiony w przestrzeń, głos jej drżał... Mówiła ze wzruszeniem o troskliwości matczynej... Raz zapomniała się nawet i zawołała, klaszcząc w dłonie:

— Mamo! Mateczko!...

Potem, chcąc wydobyć się ze szponów smutku, porwała rękę Cezara, przycisnęła ją do piersi i rzekła:

— Ty mi mów teraz o sobie! Opowiedz mi o czasach swego dzieciństwa.

Cezar puścił dym z cygara z miną człowieka zupełnie zadowolonego. Uśmiechnął się do Flawii i rzekł:

— Byłem silnym i zapalczywym chłopcem, moja droga — oto wszystko!...

— I nic więcej?

— Nic, Flawio...

— Więc opowiedz mi coś o swoim synu..

Cezar zmarszczył brwi i przez chwilę patrzył na nią chłodnym wzrokiem. Ale w oczach Flawii było widać tylko prostą ciekawość i delikatny wyraz tkliwości. Wszelkie podejrzenia Cezara zniknęły szybko.

Wówczas z uśmiechem szczęśliwego ojca, z dumą rodzicielską zaczął mówić o ukochanym jedynaku, który kończył właśnie lat ośm.

— A włosy ma takie jasne, jak ty? pytała Flawia, słuchając z wytężoną uwagą.

— Ma włosy jasne, kędzierzawe. Gniewa się, gdy żartując, mówię, że go czesze fryzjer.

Jego Karolek wogóle nie lubi żartów. Kiedy ktoś z niego zażartuje, czerwieni się, a potem blednie. Usuwa się w głąb pokoju i myśli; skoro do niego wówczas się przemówi — nie odpowiada. Smutek Karolka, to ból człowieka dojrzałego.

— Może być że chłopiec jest popsuty pieszczotami.

— Nie; jest tylko zanadto wrażliwy. Muszę go od tego odzwyczaić, bo byłby nieszczęśliwym człowiekiem. Jeżeli nauczy się kochać

za gorąco, pragnąć za wiele, cierpieć za serdecznie — biada mu!

Zapanowała między nimi cisza.

Przyjacielska ich rozmowa zadrgała znowu nutą namiętną. Cezar starał się mówić w dalszym ciągu o synu, ale temat był niebezpieczny, bo wraz z synem wydobywał się obraz jego matki — kobiety pięknej, a zdradzanej.

Szacunek względem tej, którą kochać przestał, jakoteż uczucie delikatności względem tej, którą kochał, — powstrzymywały Cezara od nazywania po imieniu żony wobec kochanki...

Nagle Flawia powstała, położyła mu ręce na ramionach i miękkim głosem szepnęła:

— Dlaczego do mnie nie przyprowadzisz syna?

Cezar nie mógł się na razie powstrzymać i zawołał:

— Szalona!

Lecz Flawia nie dała za wygraną. Zaczęła pieszczotliwie prosić i błagać.

— Nie kieruję wychowaniem Karolka, a matka nie pozwoli mi przyprowadzić syna do ciebie...

Flawia wybuchnęła płaczem. Posypał się grad wyrzutów; załamywała ręce, przeklinała chwilę, w której się oboje poznali...

Starał się ją uspokoić, ale napróżno. Flawia całą gorycz w owej chwili wydobyła z siebie; wszystko, co jej kamieniem leżało na sercu, co ją w tym stosunku z człowiekiem żonatym gnębiło — wszystko to wyrzuciła z siebie w słowach gorących, namiętnych.

Cezar objął w pół rozżaloną kobietę i począł jej szeptać wyrazy pociechy niejasnej, dziecinnej, bo wszystko co powiedziała, było prawdą. Głaskał ją po główce jakby była chorem dzieckiem. Wreszcie przyrzekł, iż przyprowadzi syna.

— Ale mi go na parę godzin pozostawisz, mój drogi?

— No, zostawię, zostawię, — tylko nie płacz, Flawio.

— Dziękuję, dziękuję ci, mój skarbie! — zawołała żegnając się z kochankiem.

* * *

— Karolku, — odezwał się ojciec, popychając naprzód syna, — oto ta pani chciała cię widzieć.

Chłopiec podniósł na Flawię czarne oczy i uśmiechnął się nieznacznie.

Flawia z zachwytem patrzyła na dziecko.

— Jaki piękny! jaki piękny! — powtarzała półgłosem. Na ucho zaś ojcu szepnęła:

— Mój drogi, spytaj się go, czy chce mnie pocałować?

— Karolku, chcesz pocałować tę panią?

— Owszem, chętnie pocałuję ją.

Ujął piękną, wybrylantowaną rękę i pocałował ją.

— Dzielny z niego rycerz! — zawołał ojciec, zadowolony z dziecka.

Potem nadmienił:

— Czy zaczekasz tu na mnie, Karolku?

— A prędko tatuś przyjdzie?

— O, bardzo prędko.

W obecności dziecka kochankowie nie ośmielili nawet podać sobie ręki; spojrzeli tylko przelotnie na siebie.

Flawia wzięła za rączkę Karolka i wprowadziła go do drugiego pokoju. Postawiła go na krześle, aby mu się lepiej jeszcze przyjrzeć.

— Masz włosy ojca, — szepnęła, ująwszy chłopca pod brodę.

— Tak, ale buzię mam taką, jak mama, — odpowiedział dumnie chłopiec.

— Nie chcesz być podobnym do tatusia? — zapytała drżącym głosem.

— Tatuś jest ładny, ale mama jeszcze ładniejsza. Mamusia ma długie włosy, a rączki maleńkie. Pani nie zna mojej mamy?

— Nie...

— Czemu?

— Nie wiem sama, czemu...

Rumieńce wystąpiły jej na twarz, a oczy napełniły się łzami.

Karolek z ciekawością spojrzał na Flawię i zamilkł, zszedłszy z krzesełka.

Zaczęła teraz szukać konfitur. Chłopiec uprzejmie podziękował, jak przystało na dobrze wychowane dziecko, które nie ośmiela się brać tego, na co miałoby ochotę

— Czemu nie bierzesz?

— Bo nie wypada.

— Ależ, jeżeli masz ochotę, Karolku — bierz i jedz. Czy ci tak w szkole powiedziano, że brać nie wypada?

— Nie! mama mi tak powiedziała. Do szkoły nie chodzę

— A kto cię uczy?

— Mama. Bezemnie musiałaby zostać samą w domu, dlatego woli udzielać mi lekcyj, niż posyłać do szkoły. Uczę się do południa.

— A potem?

— Potem jemy śniadanie.

— We dwoje?

— Tak, tatuś jest bardzo zajęty i nie jada śniadania w domu.

Nastąpiła przerwa chwilowa w rozmowie.

— Weź sobie te konfitury.

— Kiedy ich za dużo.

— Podzielisz się z przyjaciołmi.

— Nie mam przyjaciół.

— A z kim się bawisz?

— Z mamą, jeżeli jej przyjdzie ochota czasem się pobawić.

— Nie zawsze ma ochotę się bawić?

— O nie!

— Dlaczego?

Karolek spojrzał na Flawię i nic nie odpowiedział.

Flawię przepełniło nagle uczucie nieopisanej obawy. Ale dziecko nic nie wiedziało, nic wiedzieć nie było powinno, nic wiedzieć nie mogło.

— Nie bardzo ci więc wesoło?

— Gdzież tam, bardzo mi wesoło. Mama rysuje, gra na fortepianie, ja wtedy przeglądam ilustracje w książkach, buduję sobie domki albo przypatruję się przechodniom na ulicy.

— I ciągle jesteście we dwójkę?

— Tak, bo ojczulek ma mnóstwo spraw do załatwiania po za domem.

— Któż ci mówił o tych sprawach?

— Mama.

— A tak!

— Mamusia opowiada mi też bajeczki, kiedy mi się nudzi! Tylko że te bajeczki są takie smutne, takie smutne!... A czy pani umie bajeczki wesołe?

— Nie, Karolku. Mama opowiada ci te smutne bajeczki wieczorami?

— Tak, wieczorami Radbym pójść do teatru... Raz nawet byłem z mamą i tatusiem, ale odkąd tatuś ma tyle interesów; powraca późno do domu — i już do teatru za późno.. Tatuś powraca, ale nie chce nas budzić, więc wchodzi do pokoju i całuje mnie w czoło... Ja słyszę to i czuję, ale udaję, że śpię. Mamusia także wtedy nie śpi...

— A tatuś mamy nie całuje?

— Nie! — odrzekł krótko chłopiec i zamyślił się głęboko.

— Spisz w jednym pokoju z matką?

— Tak; poprzednio tam nie sypiałem. Ale razu pewnego tatuś wyjechał na miesiąc w podróż, — mama się bała spać sama — więc mnie sprowadziła do siebie. Odtąd już w pokoju mamy pozostałem...

Flawia padła na fotel, tracąc przytomność. Chłopiec ze zdumieniem patrzył na nią swemi dużemi oczyma, w których malowała się dobroć bezbrzeżna.

Dziecko zaczęło się wreszcie bać tej bladej pani, siedzącej nieruchomie.

Wreszcie Flawia poruszyła się i podniosła głowę.

Twarz jej wyrażała głęboką boleść. Karolek wyciągnął ku Flawii ręce, jakby ją chciał pocieszyć, jakby chciał powiedzieć to, co mawiał do matki:

— Co ci jest?

Flawia wybuchnęła głośnem łkaniem, porwała cudne dziecko w swoje objęcia i nie mogąc pohamować wzruszenia, łzami oblewała policzki Karolka.

— Nie płacz! nie płacz pani... Nic nie będzie...

— Nie płaczę już, Karolku, nie!... Pocałuj mnie tak, jak całujesz mamusię.

Karolek objął jej szyję drobnemi rączkami i pocałował ją w usta.

— Bądź zdrów, mój maleńki. Tatuś przyjdzie po ciebie, ja muszę wyjść teraz.

— Czy mogę powiedzieć mamie, że byłem u pani?

— Czemubyś powiedzieć tego nie miał?

— Tatuś zabronił mi mówić.

Flawia zastanowiła się chwilę, wreszcie odezwała się głosem pewnym:

— Tak jest, powiedz mamie, żeś był u Flawii...

Wyciągnęła ręce nad jasną główką chłopca, jakby go pobłogosławić chciała...

* * *

Cezar i Flawia nie spotkali się już potem — nigdy.

Matylda Serao.

Redaktor odpowiedzialny Dr. Kazimierz Ostaszewski-Barański. Właściciele i wydawcy: Dr. K. Ostaszewski-Barański, A. Milski i Sp.
Z drukarni J. Czaińskego w Gródku.